

„My Fair Lady”

 DIENNIK POLSKI
 21. VI. 1966

①

No, więc nareszcie i u nas! Legendarny musical, napisany przez panów Lerner (tekst) i Loewe (muzyka) wg shawowskiego „Pygmaliona”, wszedł na krakowską scenę niemal dokładnie w 10 lat po prapremierze na Broadwayu, ale — lepiej późno niż nigdy.

„My Fair Lady” to — obecnie można o tym mówić bez dużego ryzyka — pozycja, która w repertuarze teatrów muzycznych zajęła trwałe miejsce, obok klasycznych operetek Lehara czy Kalmana. To uroczne połączenie muzyki, tańca, wystawy, z madrością i humorem jednej z najlepszych komedii współczesnego teatru. Jest tu wszystko, o czym marzy publiczność: i wykint saloonów arystokracji i folklor uliczny niczym w „Krowoderskich zuchach”, i poezja i „grube” słowa rozsiane dość hojnie. Jest historia Kopciuszka opowiedziana na nowo i zdżółło przekornej życiowej filozofii...

„My Fair Lady” powinien właściwie obejrzeć każdy — to przecież największy sukces w dziedzinie musicalu (komedii muzycznej? operetki?) na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat! Tak więc — należąca wdzięczność dla Teatru Muzycznego za udostępnienie tegoż musicalu krakowskiej publiczności, tym bardziej, że zdaje sobie sprawę, iż decyzja była heroiczna: wystawiono „My Fair Lady” nie mając, praktycznie rzecz biorąc, nikogo w zespole do obsadzenia roli Elizy, Higginsa, pułkownika Pickeringa, Doolittle’a...

Lerner w swej przeróbce „Pygmaliona” trzyma się w zasadzie dość wiernie sztuki Shawa. Jego praca polegała przede wszystkim na dopisaniu tekstów piosenek i podzieleniu całości na znacznie większą ilość scen, przez ustawiczne przenoszenie akcji z miejsca na miejsce. W dobrym musicalu jest to niezbędne dla zachowania tempa i popisaną się bogactwem wystawy. „My Fair Lady” ma zatem 18 odsłon — „Pygmalion” zaledwie 5 aktów.

Ważniejsze zmiany: pierwsze wejście Elizy w wielki świat odbywa się nie w saloniku pani Higgins, lecz na wyścigach

konnych w Ascot (jedna z najslawniejszych scen musicalu), Alfred Doolittle pokazany jest nie tylko w gabinecie Higginsa, lecz także na swojej ulicy, w swoim śródownisku, a ponadto Lerner — podobnie jak większość inscenizatorów „Pygmaliona” — zignorował epilog sztuki, w którym Shaw wyjaśnia, że Eliza wyszła ostatecznie zamaż za Freda.

Jakie zmiany wprowadziła z kolei krakowska inscenizacja (Zofia Weissówna) w stosunku do oryginału „My Fair Lady”? Podzielono musical na trzy akty — w oryginale: dwa, wyrzucono z I odsłony piosenkę Higginsa o tym, jak to Anglicy kaleczą swój język (stosunkowo mała strata) i piosenkę Elizy „Bez Ciebie” skierowaną przeciw Higginsowi (też bardzo szkoda!). Dodano za to szereg scen baletowych. O ile na większość z nich można przystać bez większych zastrzeżeń (niektóre urzekają nawet świeżością i pomysłowością) o tyle zupełnym nieporozumieniem jest scenka otwierająca spektakl, anonująca zupełnie inny charakter przedstawienia i psująca dobry efekt identycznego początku musicalu i sztuki, z którego stopniowo wyłaniają się różnice adaptacyjne.

Poza tym inscenizacja krakowska niewiele odbiega od prapremierowej — naturalnie w miarę możliwości sceny naszego teatru. Reżyseria musicalu (również Zofia Weissówna) jest bardzo sprawną, spektakl ruchliwy, lecz nie przeszarżowany, sytuacje rysują się przejrzysto, rozwiązywane są zgrabnie. Siłownie zachowano tradycyjną, białoszara tonację sceny w Ascot, szkoda natomiast, że nie utrzymano demonicznych parsknęć (śmiechu?) Doolittle’a w rozmowie z Higginsem, wyraźnie zaznaczonych w tekście i zawsze wywierających efekt szalenie komiczny.

Tłumaczenie Minkiewicza i Marlano-wicza nie we wszystkim jest tak doskonałe, jak wskazywałyby na to nazwiska autorów, trzeba jednak przyznać, że pomysłowo przełożyli sławną kwestię lingwistyczną „Rain in Spain stays mainly in the plain”, na „W Hiszpanii

mży, gdy dżdżyste przyjdą dni”. Nawiasem mówiąc, trochę chyba nad miarę rzucano ze sceny nieparlamentarnym słowem, oryginał jest mimo wszystko nieco bardziej powściągliwy!

Największe kłopoty w „My Fair Lady” bywają z solistami. Eliza musi świetnie śpiewać i być doskonałą aktorką. Jej piosenki (arie?) wymagają nie małego kunsztu wokalnego, a rola — dojrzałych środków aktorskiego wyrazu. Niuchronnie nasuwają się przecież porównania z teatrem, gdzie Elizy grywane są zazwyczaj przez najlepsze siły... Higgins (podobnie jak Pickering) jeśli idzie o sprawy wokalne traktowany jest bardziej ulgowo, musi jednak być na scenie kimś. Musi mieć charakter, wiele uroku, lecz ani trochę kokieterii. Podobnie Doolittle — rola już w teatrze posiadająca duże tradycje, a tutaj jeszcze rozwinięta i — rozśpiewana!

Sądzę, że soliści Teatru Muzycznego, o których niejednokrotnie już miałem okazję entuzjastycznie się w „Dzienniku” wyrażać, nie wezmą mi za złe, jeśli stwierdzę, że role w „My Fair Lady” wyraźnie im nie odpowiadają. Jedno, co można z satysfakcją dostrzec, to ładny śpiew i niewatpliwe starania aktorskie Iwony Borowickiej (Eliza). Szkoda tylko, że w aranżu słynnej piosenki „Przełatańczyć całą noc” zrezygnowano w tle z chóru dziewcząt — jaki jest w partyturze oryginału — a pozostawiono jedynie głos pani Pearce... Andrzej Galos robił co mógł, aby z honorem wyrwać z roli Doolittle’a, do której jeszcze przecież nie dojrzał (wiekiem, nie talentem!).

Oczywiście — bez trafnej obsady trudno o spektakl bez zarzutu. Niemniej „My Fair Lady” w Krakowie jest przynajmniej przedstawieniem żywym, wesółym, no i ogromnie melodyjnym. Orkiestra, prowadzona przez Mariana Lidę, przekazuje bowiem to, co pan Loewe bardzo ładnie napisał, w sposób nader przyjemny dla ucha.

LUCJAN KYDRYŃSKI

Mamy w Polsce zaledwie kilka scen operetkowych. Cieszą się one niezmiennym powodzeniem — mimo, że obracają po raz któryś tam z rzędu zakłętę koło operetkowej klasyki w sposób jak najbardziej z tradycją zgodny. Tylko od czasu do czasu w tym na ogół importowanym cieście trafiają się rodzynki twórczości rodzimej w rodzaju „Łoży królewskiej” Dobrzańskiego. Ale i tu przecież nikt nie szuka wyjścia z zaczarowanego koła schematów. Nic więc dziwnego, że przy każdej nowej odmianie w muzyczno-rozrywkowym gatunku uderzamy — jeśli nie w wielki, to przynajmniej w większy niż zazwyczaj, dzwon.

Pierwszym krokiem wyjścia z zaczarowanego koła stały się na naszych operetkowych scenach, głośnie już na Zachodzie i najsłynniejsze na amerykańskim kontynencie *musicales*. Operetka Gliwicka stawia już te kroczki od pewnego czasu konsekwentnie. Zaczęła od „Cancana” Cole Portera i przeszła przez mniej znaną pozycję, jaką jest „Tęcza Finiana” Burtons Lane. Warszawa i Częstochowa wyszły z premiera „My fair lady”. Operetka krakowska także od „My fair lady” zaczęła. Jest to pierwszy na krakowskiej scenie operetkowej *musical*.

Musical jest nazwą importowaną i trudną w zasadzie do całkowicie trafnego zastąpienia określeniem rodzimym. Nie jest to bowiem komedia muzyczna, gdyż te mają raczej charakter kameralny i nie pretendują do widowiskowej formy. Nie jest to również widowisko rewiowe, jako że dramaturgia jest tu podstawowym tworzywem. Można by więc określić *musical* jako widowisko muzyczno-taneczno-dramatyczne, w którym te wszystkie trzy elementy muszą tworzyć konstrukcyjną całość, gdzie operetkową arię zastąpiono piosenką, a głupawe teksty przyzwolą prozą, zaś układy taneczne i wokalne nie tylko uświetniają, ale i wyjaśniają wątek fabularny.

„My fair lady” to jeden z najgłośniejszych musicali. Od 1943 roku, gdy na scenie Broadwayu pojawił się pierwszy *musical* „Oklahoma” Rodgersa i Hammersteina, żaden inny nie przeżył chyba tak świetnej pasy. Mimo że w przy-

Jadwiga Andrzejewska

OPERETKA

Krok pierwszy

padku „West Side Story” czy „Kiss me Kate” sięgnięto aż po Szekspira, to jednak rekordy powodzenia pobiła „My fair lady” z tekstami i piosenkami Alana Jay Lerner’a oraz muzyką Fredericka Loewe, adaptowana na scenę muzyczną wg sztuki G. B. Shawa „Pygmalion”. Nie jest chyba zasadą, że dobra literatura skojarzona z dobrą, choć lekką muzyką, musi stanowić o sukcesie. Jednakże w przypadku „Pygmaliona”, sztuki zaskakującej kapitalnym dialogiem



i świetnym rysunkiem postaci, ryzyko adapterów było minimalne.

Wersja polska z pewnością przysporzyła trochę kłopotów, choćby tylko ze względu na akcenty fonetyczne. Przekładu jednak dokonali nie lada specje: Antoni Marianowicz (tekst) i Janusz Minkiewicz (piosenki). Nic więc dziwnego, że dialogi potoczyły się wartko, błyskając tu i ówdzie dowcipem, a piosenki — w pierwszym rzędzie te z przedmieść — czarowały autentyczną świeżością i humorem. W krakowskim przedstawieniu było to zresztą zasługą nie tylko samego twórców, lecz co najmniej w równej mierze zasługą twórców i odtwórców. Iwona Borowicka kojarząca się dotąd w wyobraźni widza wyłącznie z postacią operetkowej primadonny, tym razem poradziła sobie doskonale z bardzo trudną rolą Elizy Doolittle i tylko momentami, w końcówkach scenach, przypominała o sobie, jako primadonnie. A już wręcz zaskoczyła aktorskimi możliwościami w pierwszej odsłonie. Jak zawsze z wdziękiem partnerował jej Kazimierz Rogowski w roli prof. Higginsa. Wśród całej plejady naprawdę dobrych ról (Zygmunt Miłkowski w roli plk. Pickeringa, Wanda Kruszevska — p. Pearce, Zofia Weissówna — p. Hopkins) dodatkowe brawa należą się Andrzejowi Gałowski, który świetnie zarysował charakterystyczną sylwetkę Alfreda Doolittle, królującego w scenach zblorowych na przedmieściach Londynu.

W krakowskim przedstawieniu słusznie chyba położono nacisk na stronę widowiskową. Trochę to przedłużyło przedstawienie, ale jednocześnie wyrównało proporcje między tekstem a stroną muzyczno-taneczną, dając w sumie dobrze „sfastrygowaną” całość, świadczącą o wprawnej rece inscenizatora i reżysera tego musicalu — Zofii Weissówny. Z niełatwego zadania scenografa (kilka odsłon i 18 obrazów w warunkach lokalowych naszej operetki!) wywiązała się pomysłowo Zuzanna Piątkowska, stronę choreograficzną przygotowała Stanisława Stanisławska (układy taneczne zgrabnie powiązane z wątkiem tematycznym), a kierownictwo muzyczne spoczywało w rękach Mariana Lidy.

Na dodatek jeszcze program z „My fair lady” obok gruntownego wprowadzenia widza w historię musicalu, zawiera nuty i teksty piosenek — szlagierów „Ulica” i „Przetączmy całą noc...”. Jeśli więc Kraków nie jest wyjątkiem „Moja kochana pani” ma powodzenie murowane i długo nie zejdzie z afisza.

ECHO KRAKOWA

20.05. 1966

Z Operetki

"My fair lady"

Poprzedziła ją międzynarodowa fama — najbardziej „wystrzałowej” operetki, jaką zrodziły ostatnie dziesięciolecia. Operetki? Ależ to nie operetka — przecież to musical! — wołają co poniektórzy teoretycy lekkiej muzy. A może nawet komedia muzyczna lub rowia? — zastanawiają się inni. Nie spierajmy się jednak o nazwę. Pewnikiem nie ulegającym dziś wątpliwości jest fakt, że sceniczne dziełko muzyczne „My fair lady”, napisane przez panów Loewego i Lerner’a wg „Pigmaliona” Shawa zrobiło dziś w świecie nie lada karierę i błyskawicznie zdobyło popularność. W Polsce wystawiło ową „Lady” już parę scen operetkowych — wreszcie też podjął jej wystawienie krakowski Teatr Muzyczny. Powierzono inscenizację i reżyserię Zofii Weissównie, choreografię — Stanisławowi Stanisławskiemu, szatę scenograficzną obmyśliła Z. Piątkowska, batutę dyrygencką wziął w swe ręce M. Lida.

Oczywiście — spoglądając na krakowską „My fair lady” nie można zanadto rozmyślać o doskonałym ponoc (niestety, nie widziałem!) słynnym filmie pod tymże samym tytułem, ani o „Pigmalionie” Shawa: operetka, czyli jak ktoś tu woli, musical, żyje własnymi swymi prawami — i efektami. Historia prostej dzie-

czyni-kwiaciarki, która kaprys znakomitego profesora lingwisty przekształciła w wytworną damę — oraz wszelakie perypetie i skutki takiego przeistaczania — jest już sama w sobie bogatą w możliwości sceniczne kanwą, gdzie humor i komizm spleta się z sentymentami i melodramatem. Czy libretto, a za nim: reżyseria krakowskiego spektaklu „My fair lady” wykorzystuje te możliwości? W znacznej mierze tak — choć nie bez zastrzeżeń. Bardzo udane są sceny zespołowe: tłum doskonale — w rytmie, harmonii i barwie — porusza się i śpiewa na scenie. Również wkładki baletu — w którego składzie widzimy kilka nowych, wartościowych nabytków — są b. pomysłowe w kompozycjach, dobrze tańczone technicznie, w kolorystyce kostiumów miłe wizualnie (stroje zresztą wogóle są tradycyjnie mocną stroną krakowskich spektakli operetkowych; jedno tylko tu spostrzeżenie: na scenie kłocą się tym razem wśród panów i pań

dziewiętnastowieczne ubiory — ze współczesnymi). Na co jednak trzeba zwrócić krytyczną uwagę (co jeśli chodzi o operetkę czynię nie po raz pierwszy) — to przede wszystkim na słaby tok akcji scenicznej: dialogi są za długie i wreszcie stają się monotonne, piosenki mają stanowczo za dużo powtarzających się stroftek. Więcej skrótów, więcej tempa — a przedstawienie będzie o niebo lepsze! Również wydaje mi się, że poza doskonałą sylwetką śmieciarza Doolittle’a (A. Galos) nie w pełni udało się reżyserii wydobyć i wykorzystać komizm niektórych innych postaci: zanadto traktowane są serio. Prywatnym smutkiem napawa mnie fakt, że publiczność najserdeczniej się śmieje... z nieczuwalnych słów, jakie parokrotnie padają z ust kwiaciarki; wolałbym, aby równie serdecznie śmiano się z innych przeznaczonych po temu pomysłów reżyzerskich.

Tak, jak scenicznie dla oka tak i muzycznie dla ucha przyjemna

jest ta „My fair lady”: sporo ładnych melodyjek, piosenek, nowoczesnych rytmów. Publiczność bawi się tym wszystkim jak najlepiej. Muzycznie nie wszystko tu jeszcze wyregulowano: najwyraźniej zaznaczają się rozbieżności między solistami, a towarzyszącą im orkiestrą; również w chórach konieczna byłaby większa staranność muzyczna.

Soliści — bardzo liczna obsada — to niemal wyłącznie sami starszy znajomi. Trudna, o szerokiej skali wymagów: od ulicznej kwiaciarki do eleganckiej damy — rolę tytułową kreuje Iwona Borowicka. Piękny głos i doświadczenie sceniczne są tu cennymi atutami; zdecydowanie jednak wolę, gdy Borowicka — ze względu na swe cechy artystyczne i osobiste — jest królową, a nie dziewczyną. Bardzo dobrym, naturalnym aktorsko, dobrze podającym tekst i miło śpiewającym jest K. Rogowski, jako prof. Higgins. Dzielnie sekundują głównej parze dalsi partnerzy, jak Z. Milkowski (pik. Pickering), C. Karpińska, J. Zieliński, Z. Weissówna, I. Potłuch, M. Choma, R. Kwiatkowski i in. W sumie: „My fair lady” — to osiemnaście obrazów i trzy godziny melodyjnej, barwnej (choć trochę zbyt długotrwałej) rozrywki.

JERZY PARZYŃSKI